Ner 21. Kraków 1 listopada 1868. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami i opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI

przy ul. Jagiellońskiéj Nr. 204 na dole otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

Dla Pren. mody załącza się przy dzisiejszym Nrze: **Kolorową rycinę — arkusz krojów i wzorów dla domowéj roboty, hafty itd.**

Julian Klaczko.

W zeszłym miesiącu witaliśmy uroczyście przejeżdżającego przez Kraków J. Klaczkę, krytyka i publicystę. Zarówno stanowisko jakie zajął w literaturze naszéj, jakotéż i koleje życia, czynią go jedną z wybitniejszych postaci, zwracających na siebie ogólną uwagę. Nie nowość zdobyczy umysłowych i przekonań, ale drogi, któremi one szły — nie liczba pism, ale ich jakość, właściwość okoliczności towarzyskich i pewna uniwersalność, oto są warunki, które się złożyły na utworzenie publicznego człowieka, pisarza. Zgodzą się zapewne chętnie na to czytelnicy nasi, jeżeli zamiast opisu przyjmowania gościa, podamy tu nieco bliższych o nim szczegółów, które może nie są powszechnie znanemi.

Urodził się w Wilnie r. 1826 z rodziny izraelskiéj. Pierwszą nauczycielką była mu matka, osoba wykształcona i *Salomon Zalkind* uczony i poeta hebrajski. Julian okazywał wielkie zdolności i już chodziły o nim, jako o chłopcu siedmioletnim cudowne wieści, że wybornie mówi i pisze po polsku. Co wówczas pomiędzy żydami polskimi jako rzadkość i wyjątek uważane być musiało, jest dzisiaj na porządku dziennym i rzeczą zwykłą. Jest to, jak słusznie na wieczorze Dr. Gumplowicz podniósł, wymowne świadectwo, o ileśmy od owego czasu postąpili. Mając lat 13 wydał w Wilnie przy sposobności religijnego obchodu „Bal Mizva“ (przejście z wieku chłopięcego w dojrzalszy), wiersz p. t. „Moja pierwsza ofiara. Wiersz ten małéj wartości, wywołał polemikę w gazetach warszawskich i petersburskich, co zwróciło uwagę na autora. W „Tyg. petersb.“ (r. 1839 ur. 76) opisał Jucewicz odwiedziny swoje u rodziny Klaczków, zachwyca się nad wykształceniem matki i wyraża zadziwienie nad dokładną znajomością literatury i historyi polskiéj zarówno jak języka i literatury francuskiéj w tak młodym chłopcu.

W tymże roku napisał Klaczko wstęp do poematu „Powódź“ i wiersz „Do Siostry“. — W r. 1840 podał o nim znowu wiadomość „Tyg. peters.“ jako o cudownem dziecku, a pismo „Linksmine“ umieściło jego portret i ogłosiło jego wiersze: „Pożegnanie poety“, „Sonety“.

Zajmował się wówczas wiele historyją polską i hebrajską, przełożył na hebrajskie dramat Korzeniowskiego „Mnich“, niektóre ballady Mickiewicza, które umieszczał S. Pin w wydawanem przez siebie w Wilnie hebrajskiem czasopismie „Peruda capon“ (kwiaty północne). W r. 1842 wydał w Lipsku zbiorek poezyj po hebrajsku p. tyt.: ***Klatzko Juda*** *Dod ajom, Violae sylloge hebraicorum carminum atque narrationum.* Do tych początkowych prac należy jeszcze wiersz: Izraelita na gruzach Palestyny“ (Tyg. lit. 1843) i artykuł w encyklopedyi powszechnéj Glücksberga r. 1841.

Tutaj kończy się jakoby pierwsza epoka życia Klaczki. — Od początku znajdował się w stosunkach sprzyjających wielce rozwojowi jego, jakoto: wychowanie domowe pod kierunkiem i ciepłem światłéj matki, zdolni nauczyciele i widoczny wpływ świeżéj na Litwie tradycyi Mickiewiczowskiéj. Wielkie zdolności umysłowe; jeżeli nie talent, to usposobienie poetyczne, gruntowne wykształcenie, wczesna wprawa pisarska były to oznaki zapowiadające kiedyś znakomitego pisarza. Lecz dotąd jeszcze w niczem stanowczem się nie pokazało jaka będzie jego specyalność, jaki charakter i rodzaj prac jego. Zapisać tylko można, że wystąpił zrazu jakoby w dwóch postaciach, które sobie nawzajem wcale nie przeszkadzały — raz, jako Żyd piszący po hebrajsku powtóre, jako Polak piszący po polsku. Owszem należy zauważyć, że podobieństwo losów, nieszczęść i tułactwa obu tych narodów, tak często w literaturze naszéj podnoszone, było ważnym czynnikiem w wyrabianiu się téj osobistości, i że tutaj należy już szukać psychicznych przyczyn, dla czego Klaczko późniéj tak przylgnął właśnie do Krasińskiego — psalmisty; — a związek ten znowu dalsze za sobą pociągnął następstwa. Usposobienie poetyczne, wykształcenie biblijne musiało go zbliżyć do poety idealnéj Polski Jerozolimy, a zarazem sprzyjało literacko-estety-

cznemu kierunkowi prac jego. Zbliżenie to wprowadziło go daléj równocześnie do stronnictwa arystokratycznych tradycyj i ultramontańskich dążeń, a okoliczność ta wpłynęła znowu stanowczo na jego publicystyczny kierunek, na charakter jego pism politycznych. Z człowiekiem dzieje się bowiem tak jak z rośliną; rozwój jéj zależy od warunków gleby i klimatu. Wspomniane warunki urodzenia, wychowania, stosunków społecznych i otaczające go prądy wyobrażeń; oto łożysko, którém popłynął wielki talent Klaczki, wspomagany rozległą i gruntowną wiedzą, a natchniony wysokim, czystym patriotyzmem.

Tę drugą epokę jego życia rozpoczyna wyjazd za granicę. (Dok. n.)

O powieści i powieściopisarzach

przez

Lucyana Tomasza Rycharskiego.

Za Ludwika XIV. romans historyczny nową przybrał postać. Wkracza on w granice poezyi pasterskiéj, malując zarazem tkliwe i delikatne uczucia znamionujące poetów hiszpańskich; a potem wracając jeszcze do pierwszéj formy, pokazał się w blado-różowych dziełach *Floryana.* Tak bowiem nazwać trzeba jego „Gonzalwa“, w którym rusztowanie historyczne wali się pod wieńcami z kwiatów. — Romans pasterski, którego dał przykład *Cerwantes* w „Estelli“, we Francyi urodził się przypadkiem, a małpowatém naśladowaniem utrzymał się czas niejaki. *Honoré d'Urfé,* szlachcic z pod Lugdunu, przepędziwszy życie na miłostkach, a chcąc jakiś użytek zrobić z wielkiéj liczby wierszy, które był do swoich napisał kochanek, i zarazem opisać swoje przypadki miłosne, wpadł na myśl dziwacznego romansu. Zmyślił sobie, że gdzieś w kąciku Torez koło Auvernii, za pierwszych królów Francyi, był narodek pasterski nad rzeką Lignon mieszkający, zamożny i trudniący się pasterstwem tylko po amatorsku. Mając wiele wolnego czasu, cały ten naród zawzięcie się kochał. D'Urfe w ich przygodach opisując swoje, wiersze do tego powkładał i wydał cztery grube tomy "Astrei", któréj piąty tom *Baré* przyjaciel jego po śmierci dołożył. W ślad za nimi poszli zaraz *Colprenede, Desmarais, Scudéri* itd. Ale nareszcie znudziło im się kochanie pasterskie, i zatrzymując tak ogólny romansu swojego protoplasty, wzięli tylko dla posolenia, bohaterów starożytnych. Tak pani Scudéri z wielkiego Cyrusa biblii, Herodota, Xenofonta, zrobiła czułego kochanka Mandany, nie mogąc to świętokradzkie fałszerstwo charakteru usprawiedliwić niczém, jak dziką fantazyją i modą. W „Chelii“ tego samego losu doznali Brutusy, Scewole. Te i tym podobne romanse, wystawiające rycerzy zalotnych i bredniarzów, sprawiedliwie wyszydził surowy Boileau. Był więc czas, kiedy i takie dzieła miały wielką wziętość i sławę w całéj Europie, a romansowe ideały obrazem były rycerza francuzkiego, podług wyobrażeń owoczesnych. Tym sposobem łatwo sobie wytłumaczyć podziw, jaki okazywały dla zmyśleń bohaterskich niektóre osoby, zkądinąd znakomite, ale całkiem oddane urojeniom romansowym. Podziw ten wykołysał dzieciństwo i wychował młodość Ludwika XIV. oraz wywarł na *Fenelona* wpływ wielki, dzisiaj nie dość oceniony. „Telemak“ równie jak romans przypisywany powszechnie Turpinowi, miał wielu naśladowników. Zaraz kawaler *Ramsay* napisał i wydał: „Przygody młodego Cyrusa“, a nie tylko Anglija, lecz i Niemcy miały swoich fałszywych Telemaków. Jeden poczciwy pastor germański wziął się do pióra i jakaś księżna czy księżniczka „Heronleida“ wyszła z druku w ośmiu czy dziesięciu wydaniach. Nie wspomnę tu o romansie *Terassona* pod napisem: „Sethos“ i o drugim „Teleph“ *Pechmeja,* które oba śmiertelnie znudziłyby czytelników. Téj zbytecznéj wolności stwarzania dziwacznych wypadków tak dalece nadużyto, że w języku francuzkim romans stał się synonimem bajki. Powoli jednak sama przesada romans ten przywiodła do odrodzenia w dziełach pani *Lafayette* i innych.

Przyszła z kolei filozofija XVIII. wieku. *Marmontel* wydał swego „Belizara“, a po nim *Bartelemi* „Anacharsysa“, romans historyczny i pełen erudycyi, który tuż poprzedził romanse *Walter-Skota;* nie ma ani téj siły życia, ani przenikliwego pojęcia i zgłębienia starożytności, jakie cechować powinny podobne dzieło. *Richardson* stanowi z wielu względów epokę w literaturze romansu. Pisarz ten rozwlekły do nieskończoności, w najwyższym stopniu namiętny — w swoich romansach rycerskich zastraszających długością i gwałtownością wzruszeń, rozwinął talent wielki i oryginalny w śledzeniu najskrytszych tajników serca i mistrzowskiém malowaniu życia. Wstrząsnął on do żywego wszystkie wielkie i drażliwe umysły ognistemi i rozdzierającemi obrazami. Kobiety zarzucały go listami, w których interesowały się losem jego bohaterów. Ten interes, jaki potrafił obudzić, zjednał mu miejsce w historyi literatury, na które przez przyznaną mu powszechnie moralność tém więcéj zasługuje. Ale Śniadecki w swojéj krytyce „Malwiny“ sprawiedliwie mu zarzuca, że namiętne i ogniste jego obrazowanie działało szkodliwie na umysły, serca i wyobraźnię młodych kobiet. Na wytłumaczenie téj szczególnéj sympatyi, jaką miał wzbudzić w współczesnych Richardson, to tylko da się powiedzieć, że on równie jak *Rousseau* w „Nowéj Heloizie“ w wieku materyalizmu, szyderstwa, pod popularną postacią romansu odezwali się za uczuciem, religiją serca, które współcześni im pisarze tak lekkomyślnie deptali. Ze względu więc filozoficznego, jako dobroczynni mędrcy,

jako poprzednicy wieku XIX., mają zasłużone miejsce w dziejach umysłu ludzkiego, bez względu na formę, pod którą myśli swe objawiali. — Z tego samego, to jest filozoficznego stanowiska uważane, znalazły dość zaszczytne miejsce w literaturze niektóre romanse obyczajowe. Romans obyczajowy w ścisłém znaczeniu tego wyrazu jest, że tak powiem, wcieleniem prawd filozoficzno-moralnych, plastyczném przedstawieniem prawd oderwanych. W takim jednakże razie pisarz zmienia swoje pomysły na zdawkową monetę, aby wszystkich obdzielić swoją jałmużną; owija je w tkankę zmyślenia, nadaje im formę powabną dla tych, co się lękają lub nudzą nagą myślą i tém podejściem rozrzuca rozłamki swoich wielkich lub użytecznych pomysłów w pamięć tych, którzy nie chcą myśli. Romanse takie dlatego znalazły zaszczytne i długotrwałe miejsce w dziejach literatury, że nie były obrazami życia i ludzi bez innego celu, jak artystycznego odbicia rzeczywistego bytu. Zadosyćuczynienie temu - warunkowi nadać może romansowi artystyczną wartość, ale mu nie da żadnego miejsca w rzędzie płodów myśli ludzkiéj, których szereg (jednych wznoszących się nad drugie) jest objawieniem, a raczéj przewodnikiem ruchu społeczeńskiego, życia moralnego i postępowego ludzkości. Będą to zbiory rysunków, rycin, zbiory odcisków gipsowych, przedmioty podziwienia, rozrywki, przepychu myśli, a raczéj fantazyi, ale nie narzędzia cywilizacyi.

Wiek XVIII. użył romansu za narzędzie swoich widoków, przeobraził w tak nazwaną p o w i e ś ć f i l o z o f i c z n ą. *Wolter* użył go na poparcie swych sofizmatów filozoficznych — toż i inni. Upodobany i najwłaściwszy to był rodzaj we Francyi. Wszakże zmyślenie mówiące jedynie do rozumu, osnute w celu szyderstwa, albo filozoficznéj utopii, nie mogło zaspokoić ziomków Szekspira. *Sterne* przymieszał do tego zaprawę czułości, pomieszczał obrazki wielkiéj tkliwości wśród opowiadań suchych albo komicznych, i trafiając do narodowego h u m o r u angielskiego, właśnie na zamiłowaniu tych przeciwieństw opartego, został popularnym w swym kraju, sławionym po Europie pisarzem. — Tę angielską metodę tylko na sposób niemiecki przetłumaczył *Jan Paweł Richter*. Niemcy są ludem bardzo książkowym, żaden żart tyle ich nie bawi, jak ten, którego znaczenia w komentarzach i glosarzach wyszukiwać trzeba. Jan Paweł obrał więc powieść jako ramy filozoficznych teoryj, tak samo, jak autor *Kandyda*, tylko że jego teoryje zapuszczały się daleko głębiéj, wznosiły daleko wyżéj. Jak kto inny stara się o łatwość i jasność stylu, tak on ubiegał się o jego ciemność; pomieszał z sobą myśli górne i obrazy pospolite, spekulacyje, żarty, sentymentalizm, cynizm... a z tego wszystkiego utworzył rodzaj pisma, któremu zapewne mogą się dziwić cudzoziemcy, ale w którym sami tylko Niemcy mogą bez udawania smakować. Jakkolwiek więc nie odmawiam obu tym pisarzom znakomitego geniuszu, ale mówię otwarcie, że ani jeden ani drugi nie mogą być brani za wzory w naszym wieku; bo metoda tych pisarzy wylęgła się jeszcze w tym czasie, kiedy duch cywilizacyi zatrzymywał skrzydła sztuki nierównie niżéj, niżeli się odtąd podniosły. — Trzeci z owéj przechodowéj epoki główniejszy romansopisarz *Hoffmann* w pewnym względzie miał artystyczny pomysł, gdy starał się cofnąć utwór imaginacyi z tych kolei prozaicznych przeznaczeń, w które go poniewolnie wdrażano. jak strugi bystréj wody do obracania kół młyńskich Chciał on, ażeby płód imaginacyi do imaginacyi tylko przemawiał, nie dając się nicować rozumowi zarzutem nieprawdopodobieństw — i utworzył powieść, która nas miała bawić w wieku dojrzałym, jak niegdyś bajki nianiek w dziecińśtwie. Nie wszędzie mogło to mieć jednakie powodzenie. W spokojnych, literackich Niemczech saturnalia te wyobraźni popłacać mogły. Czytelnicy uczuli przyjemność w samém zwolnieniu zwykle natężonych nici spekulacyjnego myślenia. Sam ów mąż uczony, upijający się w szynku, fajkarz zawolany, otwierający niejako katedrę nowéj nauki szaleństw wywieranych dymami tytuniu i wina na drażliwym mózgu, był w oczach swych ziomków rodzajem bohatera, rodzajem Amadisa lub Orlanda; robił wielkie wrażenie! Wśród społeczeństwa mniéj książkowego, mniéj mieszczańskiego, więcéj owładniętego sprawami rzeczywistego życia i żywszemi sympatjami, taki autor ujdzie naturalnie za dziwaka, a jego dzieła za dziwactwa gnieżdżące się w niedostępnéj dlań sferze. Naród, który otwarte jeszcze ma serce dla rozlicznych pełnych mocy uczuć, który żyje jeszcze a nie marzy tylko, doświadcza a nie rozważa i w swoim zawodzie spotyka się co chwila z wielką poezyją rzeczywistości, taki naród nie pójdzie szukać wzruszeń w zakochaniu studenta w lasce mechanicznéj, jak u Hoffmanna.

(Ciąg d. nast.)

Nie żal.

Szydertwo moje nie zrani ci serca —
Śmiech mój — uśmiechu twego nie wywoła —
Kwiaty powiędły u mojego czoła,
Choć to z twéj dłoni... los dziwny szyderca.

Kiedyś marzyłem życie pełne sławy;
Lecz liść laurowy spalił ogień szałów —
Myśl ma zbłąkana w świecie ideałów,
Spotkała wzrok twój — tęskny — smutny — łzawy.

Ty znasz potęgę jego — długie wieki
U nóg twych klęcząc rozmarzony — senny —
Myślałem; anioł z błędników promienny
Wróży mi szczęścia gdzieś spokój daleki.

Dziś taki spokój patrzy w moją duszę,
Jak jest konanie ciche gwiazd na niebie...
Spokojny jestem — choć ty wiesz przez siebie,
Jak marnie — cicho — bez łzy konać muszę.

Szyderstwo moje to nie żadna skarga,
Bom ja szczęśliwy bardzo — racz mi wierzyć.
Czekam na pioruna, co nie chce uderzyć;
Lecz po kawałku serce w szmaty targa.

A kiedy zerwać chcę kajdany moje,
Girlandę z kwiatów rzucić precz od siebie,
To taka cisza na ziemi i niebie,
Że wstyd mi konać — a żyć ja się boję....

I strach mi dzisiaj téj bez echa ciszy
Na moim grobie jak urągowiska —
Upiór przeszłości śmiech mi w oczy ciska,
A śmiechu tego nikt prócz mnie nie słyszy.

Konam i boję się, by mi na lica
Rumieniec wstydu nie wystąpił krwawy,
Że mi za cały krzyż życia bez sławy
Była wezgłowiem jedna pierś kobieca.

I zimne serce. — Rzecz tę jam od siebie
Rzucił daleko — i wtenczas cię chciałem
Pobłogosławić — miłością i szałem;
Ale śmiech tylko Bóg usłyszał w Niebie.

Śmiech ten, choć serce twoje ty uciszysz,
I choć zapomnisz o mnie, i żeś była
Kochanką moją — śmiechu tego siła
Zasmuci ciebie, kiedy go usłyszysz.

Lecz nie wierz ludziom, jeżeli oszczerce
Powiedzą tobie, żem się z bólem łamał —
Bom ja przed ludźmi smutek tylko kłamał,
Abyś myślała — że mam w piersiach serce.

Aleksander.

KARYKATURY.

(Wyjątek z teki podróżnéj.)

(Ciąg dalszy.)

II.

Gość niespodziewany.

Turkot powozu był taką rzadkością w Pipidówce, że skoro tylko dał się słyszeć na ulicy, wszystko co żyło biegło do okna — i widziałeś wtedy łyse głowy z piórem za uchem, panie z zakasanemi rękawkami, które ciekawość wyciągnęła z kuchni; panienki w negliżach z poskręcanemi loczkami w kształcie rożków— wychylające się przez okienka ze znakiem zapytania na twarzach. Cóż dopiero, gdy turkotowi towarzyszył ochrypły głos trąbki pocztowéj.

Jako chwilowy mieszkaniec Pipidówki przejąłem się tak dalece jéj zwyczajami, że i ja w takiéj chwili nie mogłem dosiedzieć na miejscu i odrzuciwszy na stół „Miscellanea“ Podgórzanina pobiegłem do okna.

Dyliżans zatrzymał się przed oberżą — wyskoczył z niego jakiś młody blondyn w szkockim szalu, w szkiełkach, któremi osiodłał kościuszkowski swój nosek, rudawe bakenbardy jak kotlety wisiały u bladéj twarzy; miał na sobie krótką manszestrową marynarkę, białe spodnie i jokejski kaszkiecik, rękawiczki *à la Bismarc*, lokaja z galonkiem, przymrożone oczy i głowę dumnie zadartą do góry w kierunku nosa; te wszystkie etykiety kazały się w nim domyślać jeżeli nie hrabiego, to przynajmniéj barona. Wszedłszy na korytarz głosem podniesionym zażądał najlepszego apartamentu. — Głos zdawał mi się nie obcym.

— Czyby to on był? pomyślałem sobie — ależ to niepodobna. Tylko ten nos, ten nos. Miałem bowiem w szkołach koleżkę o podobnym głosie i nosie, ale tamten niczém nie rokował, żeby się kiedyś mógł wystrychnąć na hrabiego lub barona, chyba tém, że się nic nie uczył i nierad wdawał się z uboższymi kolegami, wyjąwszy, gdy interes jego tego wymagał; przytém był to chłopak sprytny i przemyślny, umiejący wyzyskiwać ludzi i żyć nie swoim kosztem. Nie zapomnę nigdy historyi z Maciejem Ciołkiem, którego z karesów Maciusiem nazywaliśmy. Otóż Maciuś zakochał się — i to w kim? w hrabiance. Rozumie się, że hrabianka nie wiedziała nic o tém; ale Maciuś przysięgałby na nie wiedzieć co, że nie jest jéj obcym i biegając za nią po ogrodach, kościołach liczył jéj spojrzenia, wzdychał, przewracał oczami i czém mógł manifestował tę miłość swoją. Bolek wnet umiał zużytkować tego bzika Maciusiowego na swoją korzyść. Powiedział mu, że się widział z hrabianką, że się go pytała o nazwisko młodzieńca w czerwonym krawacie i długich włosach, (była to ulubiona elegancyja Maciusia) że o tym młodzieńcu wyrażała się bardzo mile. Maciuś nie posiadał się z radości i podziękował Bolkowi za to kolacyją. — Odtąd Bolek stał się niby powiernikiem i pośrednikiem zakochanych; codzień przy kolacyjce zdawał Maciusiowi relacyje rozmów z hrabianką, słów jéj, próśb i poleceń. Między innemi prosiła o jakie książki do czytania. Maciuś coprędzéj pobiegł do księgarni, naskupował najnowszych dzieł, dał to bogato oprawić i oddał Bolkowi dla wręczenia hrabiance, który je coprędzéj zaniósł do antikwarzy na špitalną ulicę, a potém ślicznie Maciusiowi podziękował za tę przysługę w imieniu hrabianki. — Żyjąc tak kosztem Maciusiowego sentymentu, Bolek różnych żarcików sobie pozwalał. I tak, gdy raz Maciuś skarżył mu się, że hrabianka w teatrze ani razu na niego nie spojrzała, Bolek wytłómaczył mu, że go w tłumie na parterze dojrzeć nie mogła, że trzeba, aby zawsze dał jéj znać o sobie głośném kichnięciem. Odtąd Maciuś kichał i kichał przed każdą sztuką, za co galeryja rzęsisto sypała

mu oklaski, śmiejąc się do rozpuku i życząc zdrowia. Ale dokazał swego, bo hrabianka spojrzała na niego. Innym razem kazał mu pod oknem hrabianki stać późnym wieczorem i to w takiém ubraniu, by go z okna poznać mogła. Zakochany Maciuś ubrał się cały biało, choć to było w październiku i do północy stał napróżno pod oknami dygotając z zimna i niecierpliwości. — Na drugi dzień Bolek usprawiedliwiał hrabiankę, że miała gości i dla uspokojenia go wręczył mu list od niéj. — Maciuś chciał zdusić w radości i upojeniu swego kolegę, całował po tysiąc razy własnoręczne litery dostojnéj kochanki, która w nich wynurzyć raczyła swe życzenia, że radaby mieć włosy jego „w ozdobnéj sylwetce“. Maciuś kupił jak najozdobniejszą, wypakował ją włosami i oddał Bolkowi. Ale w końcu Maciusiowi za nudno było tak romansować przez ambasadora; prosił Bolka, by go w hrabiowski dom wprowadził; a gdy Bolek począł się wymawiać i pod różnemi pozorami zwlekał tę chwilę, obudził w sercu Maciusia podejrzenie, czy przypadkiem Bolek nie jest jego rywalem i powodowany zazdrością przeszkadza zbliżeniu się. Postanowił więc sam na swoją rękę działać i jednego dnia wystrojony, wyfryzowany, namaszczony wonnemi olejkami poszedł z bijącém sercem do mieszkania hrabiostwa Br.... Pierwsza osoba, którą spotkał w salonie była hrabianka. — Maciuś nie mógł powstrzymać zapędów uczucia, rzucił się przed nią na kolana i wyznał jéj własnoręcznie to, co już dawniéj przez Bolka oświadczał. Hrabianka przestraszona napaścią nieznajomego człowieka narobiła krzyku, przybiegł ojciec, lokaje.... Po tém słodkiém *rendez-vous* Maciuś parę tygodni leczyć się musiał.

Ta awanturka poczciwego Maciusia była jedną z tysiąca sprawek obrotnego Bolka. Były to niby figle studenckie, ale wszystkie były obliczone nie tyle na zabawę, ile na pożytek ich sprawcy. Jednėm słowem: Bolek utrzymywał się z własnego przemysłu. Wróżyłem mu, że na téj drodze zajdzie wysoko; ale nie przypuszczałem nigdy, że się na niéj hrabiowskich pałek dobije. Bo że był hrabią, przekonywała mnie służba krzątająca się koło jego przyjęcia i powtarzająca co chwila: „jasny pan“.

Nie mógłem przemódz ciekawości i wyszedłem na korytarz. Przybyły przechadzał się po nim z pańską dumą na twarzy, z cygarem w ustach, puszczając od czasu do czasu gęste kłęby dymu. Przeszedłem koło niego i przypatrzyłem mu się uważnie. Nie omyliłem się — po brodawce na nosie poznałem go.

— Bolek! — zawołałem.

Stanął, zmrużył oczy, spojrzał na mnie.

— Z kimże mam tę przyjemność?

Powiedziałem mu moje nazwisko. Udał zdziwionego.

— Prawdziwie, nie przypominam sobie....

— Ale przypominasz, przypominasz, tylko udajesz — rzekłem z flegmą.

Natychmiast spuścił z tonu, podał mi dwa palce na powitanie i biorąc mnie na bok, rzekł pomięszany, zakłopotany:

— Mój kochany, jeżeli ci to nie zrobi wielkiéj różnicy — to prosiłbym cię, abyśmy tu zachowali incognito względem siebie, mam w tém powody — wiele mi na tém zależy.

— Co znaczy ta komedyja? ten lokaj? ten tytuł hrabiowski?

— Późniéj się dowiesz. Idzie tu o mój los — żenię się. Proszę cię — nie przeszkadzaj mi!

— W czém?

— Nie znaj mnie.

— Z przyjemnością.

Odszedłem coprędzéj chcąc ocalić jego incognito przed czujném uchem pani Trakotrekowiczowéj, która wypytawszy już poprzednio pocztyliona, lokaja, teraz koło nas z daleka jak jastrząb krążyć poczęła. Moje zbliżenie się do Bolka zamaskowałem zapaleniem cygara i odszedłem. Gdym mijał moją gospodynię szepnęła mi tajemniczo — pokazując na przybyłego:

— Wielka figura — baron!

— A dobrze, że pana spotykam — zawołał pan Atanazy wchodząc za mną do mieszkania. — Hrabina właśnie wróciła z kościoła; pójdziemy do niéj z wizytą. O! widzisz pan, to jéj powóz.

Spojrzałem przez okno na starą landarę ozdobioną herbami z tyłu i po bokach, ciągnioną przez dwie chude szkapy ze spuszczonemi łbami. Na kożle siedział stary woźnica w wytartym płaszczu, w starym galonowym kapeluszu, który mu aż na uszy spadał.

— A gdzież hrabina wyjeżdżała?

— Do kościoła.

— Jakto? o kilka kroków mając kościół potrzebowała powozu? spytałem śmiejąc.

— A cóż pan chcesz? Wszak to hrabina. Tacy ludzie mogą sobie pozwolić coś podobnego.

Poznawszy bliżéj hrabinę nie dziwiłem się wcale téj ostentacyi, jaką zakrywała przed ludźmi biedę materyjalną i moralną; francuzczyzną łatała brak wiadomości, galonowym lokajem i powozem brak pieniędzy, a pompatyczném rozdawaniem kilkunastu krajcarów przez lokaja między biednych, brak serca. Nie ma to, jak małe miasteczko dla tego rodzaju magnatek. — W wielkiém mieście powóz jaśnie wielmożnéj hrabiny Ślepowrońskiéj byłby przedmiotem dowcipów i drwinek uliczników — w Pipidówce turkot jego obudzał uszanowanie. Dla tego téż uboższa arystokracyja równie jak mierni artyści, którym się nie poszczęściło w stolicach, wysłużeni aktorowie, chętnie gnieżdżą się po małych miasteczkach, gdzie małym kosztem można grać wielkie role. W stolicy hrabina Ślepowrońska na-

leżałaby do rzędu tak zwanych Dziadów pańskich — tu była arystokratką na własną rękę, łatając ubóstwo dumą, manierami i kościołem. Ten ostatni był najlepszym parawanem; skromne i niewystawne życie hrabiny miało wynikać z jéj religijności, było ćwiczeniem się w jednéj z cnót chrześcijańskich. Najtrudniéj było jéj uprawiać dobroczynność; dobroczynności, jak wiadomo, kościół katolicki nie zabrania, ale zabraniała kieszeń hrabiny. Na tym punkcie mogła hrabina być zdemaskowaną. Na szczęście i na to znalazł się sposób; hrabina przyjęła udział w kilku towarzystwach dobroczynności. Krzątając się koło zbierania składek, jałmużny dla biednych, hrabina ochraniała własną kieszeń, a zyskiwała wdzięczność biednych; przed każdą prośbą żebraka chowała się za towarzystwo jak za puklerz mocny, i w ten sposób stając się gratis dobrodziejką, miała jeszcze w procencie imię świątobliwéj niewiasty i odpust zupełny z Rzymu aż do siódmego pokolenia, a w dalekiéj przyszłości czekał ją order od Ojca św.

Przystęp do domu téj czcigodnéj matrony był bardzo utrudniony; należało to bowiem także do taktyki hrabiny być jak najmniéj widzialną. Tylko herb lub interes otwierały obcym drzwi do jéj domu. Ja zawdzięczyć miałem to szczęście św. Cecylii, ku czci któréj jak wiadomo, napisałem był komedyję. Lokaj, który w braku przedpokoju w sieni, stał na stanowisku, zapytał nas o nazwisko i po chwili otworzywszy szeroko drzwi prosił nas do salonu. Tak mu się podobało nazwać mały pokoik zastawiony bezładnie staremi, wytartemi meblami. Po ścianach wisiały antenaty, których rysy czas jakby tabaką pozacierał, zostawiając szlachetnéj potomkini na pamiątkę tu wąsy szumiaste, tam kawał czerwonego policzka, ówdzie sygnet i kawałek palca jakiéjś matrony. Na stoliku leżał koszyczek z biletami samych szlachetnie urodzonych i niektóre fotografije; były to jakby listy rekomendacyjne, na których odczytywanie hrabina dość dużo czasu zostawiała czekającym gościom. Po półgodzinném czekaniu uchyliła się wreszcie portiera i weszła hrabina Ślepowrońska z córką.

Jakby wam tu opisać tę dostojną damę, żeby i urodzeniu nie uchybić i prawdę powiedzieć? Otóż najprzód muszę powiedzieć, że jakkolwiek urodzona była szlachetnie ale nieładnie; natura pofałszowała nieco kształty ludzkie ubierając w nie hrabinę; daléj, że zęby hrabiny były podobne do jéj włosów, a włosy do jéj twarzy i całego zachowania się, bo i zęby i włosy i twarz i mina były przyprawione. Co się tyczy córki, to kto wie, czyby jéj nie można nazwać nawet piękną, gdyby przez grube pokłady pudru można było właściwą jéj twarz zobaczyć. W epoce, w któréj maski z pudru, różu i Bóg wie jakich przypraw weszły w codzienne użycie, podobne zastrzeżenie co się tyczy piękności stało się koniecznem.

Obie te panie wszedlszy przywitały nas nie ukłonem, ale zmrużeniem oczów i milcząc usiadły na kanapie.

— Pan Balkowski literata — przedstawił mnie mój przewodnik.

Panie powtórnie zmrużyły oczy.

— Zapewne dużo już pisał? spytała hrabina.

— Kto pani dobrodziejko?

— No, pan... pan... jakże nazwisko?

— Jak przed chwilą.

— Bał... bał....

— Bałkoński — pani dobrodziejko.

— Ja przyznam się nie znam jego, bo my tylko francuzką i angielską lekturę uprawiamy. A pan panie Bał... bał....

— Bałtoszewski — podpowiedziałem.

— Panie Bałtoszewski — nie piszesz nic po francuzku?

— Pisywałem wypracowania.

Hrabina skrzywiła się niesmacznie na tę odpowiedź i poprawiła się na kanapie.

— Pan Atanazy — ciągnęła daléj — mówił nam, że to nie złe co pan napisałeś panie Bałgoszewski.

Skłoniłem się pełen skromności.

— Tylko zdaje mi się sądząc z opowiadania panie Bał... bał....

— Balbuszczyński....

— Balbuszczyński, że to nie zbyt moralna sztuka. A to dla tego, że podobno romans nie kończy się weselem.

— W takim razie wszystkie stare panny byłyby chodzącą niemoralnością.

Hrabina raczyła się uśmiechnąć i przy téj sposobności sprezentowała mi pracę dentysty, zdobiącą wnętrze jéj buzi.

— I cóż słychać w Krakowie? spytała po chwili widząc, że jeszcze nie myślałem odejść. Odczyścił się też trochę?

— Bardzo mało. Czystość jak wstydliwa dziewica nie śmie dotąd pokazać się w murach naszego miasta, choć przybycie jéj na wszystkich rogach ogłaszają. Ale za to mamy Jezuitów dosyć.

— Są więc? spytała z zajęciem hrabina.

— Urodzaj na nich ogromny. Wschodzą, choć nie posiani.

— Szczęśliwy może się nazywać Kraków, że znów posiada tych zacnych krzewicieli oświaty, którym mamy tyle do zawdzięczenia. Oni Polskę uratowali od herezyi. Pewna jestem, że pod ich wpływem Kraków....

— Spokojnie spać będzie.

— Radziłam burmistrzowi, ażeby i dla naszego miasta uprosił kilku zakonników tego zacnego zgroma-

dzenia, przedstawiałam mu, że jest to życzeniem osób wysoko u dworu położonych, co nie będzie bez korzyści dla niego, obiecywałam nawet za pośrednictwem naszych kongregacyj wyrobić mu order św. Jerzego za tę usługę kościołowi; ale cóż? To heretyk, bezbożnik. Cytuje mi, że Praga wypędziła ten zakon za bramy miasta. To też Pan Bóg ukarał ją srodze. To wszystko, co teraz się tam dzieje, jest słuszną pomstą za....

— Jaśnie Wielmożny baron Chabinopretski — zameldował lokaj.

— Prosić, prosić — zawołała hrabina zrywając się coprędzéj z kanapy. I panna Urszula, która dotąd jak śpiąca siedziała w apatyczném zaniedbaniu, mimo słodkich, zakochanych spojrzeń pana Atanazego — ożywiła się, ruszyła, jakby kto w niéj sprężynę przycisnął i rzuciła oczami w zwierciadło. — Biedny Nazio!

Otwarły się drzwi i wszedł... Bolek — przepraszam — Jaśnie Wielmożny baron Chabinopretski.

Baron uściśnieniem ręki przywitał obie panie jak dobrze znajome i rozpoczął żywą rozmowę, rozumie się po francuzku. My zostaliśmy na boku; hrabina nie uważała za stósowne przedstawić nas, a baron także zdawał się nas nie widzieć. Podziwiałem talent, z jakim grał swoją rolę; swoboda, pewność siebie, łatwość rozmawiania o niczém, elegancyja w ruchach, nie pozwalały się wcale domyślać, że to baron fabrykowany. Patrząc na niego mimowoli nabierałem odwagi i wzwyczajałem się do salonowych manijer; z koniuszka krzesła, na którym dotąd nieśmiało i niewygodnie siedziałem, posunąłem się na sam środek; próbowałem nawet jak baron założyć nogę na nogę i niedbale w tył się przechylić; ale na to nie miałem jeszcze dosyć odwagi. Poprawiwszy się w ten sposób, przysłuchiwałem się w milczeniu rozmowie wyższego świata. Z rozmowy téj dowiedziałem się, że baron poznał te panie w Karlsbadzie i widocznie obie strony musiały doskonale grać role majętnych ludzi, kiedy Bolek za kapitałami p. Urszuli aż do Pipidówki wybrał się w pielgrzymkę — a hrabina wchodzącéj w jéj dom świetnéj partyi w postaci barona biła pokłony jak przed złotą monstrancyją. Obie jednak strony starannie maskowały przed sobą i przed nami plany małżeńskiéj kampanii i starały się upozorować zaczepne kroki. Hrabina ze zdziwieniem pytała barona, co go mogło skłonić do odwiedzenia tego ustronnego kącika, w który ona usunęła się przed zgiełkiem i marnościami świata. Baron z swojéj strony tłómaczył się, że będąc nie daleko ztąd w gościnie nie mógł przenieść na sobie, by nie odnowić miłéj kąpielowéj znajomości.

— A przytém dodał — mamy się tutaj zjechać z księciem F..., który z majątku swego wraca do Wiednia.

— Jakto? Pan znasz się z księciem F...? spytała hrabina podniesionym dyszkantem.

— O! bardzo dobrze. Bywałem u niego częstym gościem w Krakowie.

Nie kłamał Bolek wcale, był bowiem jakiś czas nauczycielem księcia F. —

— I kiedyż książe pan raczy nawiedzić nasze miasteczko?

— We czwartek po południu tutaj będzie i przenocuje — a w piątek wyjeżdżamy daléj.

— We czwartek — ah! jak to doskonale. Słyszysz pan panie Wszędobylski we czwartek. A więc zaszczyci swoją obecnością nasz teatr. Bo ci panowie urządzają tu teatr na cel dobroczynny — objaśniła barona, który nas za to udarował lekkiém kiwnięciem głowy. — A to cudownie się wydarzyło — taka niespodzianka. Panie Wszędobylski — spiesz pan uwiadomić o tém burmistrza, należy przecież przygotować się na przyjęcie tak dostojnéj osoby.

Ostatnie słowa hrabiny były zarazem delikatném wyproszeniem nas za drzwi. Wstaliśmy więc i zrobiwszy głęboki ukłon plecom pani hrabiny, zajętéj rozmową z baronem, wynieśliśmy się.

— A co panie, jaka dystyngowana dama, prawda?— zapytał mnie Nazio gdyśmy wyszli na ulicę.

— Być może.

— Jakto, być może? Czyż pan tego nie uważał?

— Nie mogłem poznać tego, widząc hrabinę więcéj od strony pleców jak z twarzy.

— A, to już taki jéj zwyczaj. Bo to panie hrabina.

— To znowu co innego. — Ale ten, ten baron, to także dystyngowany.

— Tak pan uważasz?

— Zdaje się, że to będzie konkurent do panny Urszuli.

— A nie, nie — wyrwał się z pośpiechem zatrwożony Nazio — to tylko tak, przejeżdżający i nic więcéj, nic więcéj.

— W którąż pan stronę? Pewnie do burmistrza?

— Pójdę mu donieść o przyjeździe księcia. Tylko nie wiem, jak to przyjmie.

— Czy burmistrz nie lubi książąt?

— O, owszem. Ale widzisz pan, jakby tu panu powiedzieć — ojciec księcia był człowiek trochę gwałtowny, prędki, jedném słowem, dziwak. — Otóż zdarzyło się, że gdy raz pan burmistrz, który wtedy nie był jeszcze burmistrzem, ale skromnym urzędnikiem, zjechał do księcia na komisyją o jakieś pobicie chłopa, książę pan tak się rozgniewał, że sąd śmie się mięszać do jego czynności gospodarskich i przepisywać mu, czy ma bić swoich ludzi czy nie — że panie burmistrza kazał czy pan uwierzysz — na środku podwórca rozciągnąć i dać mu baty.

— No, to trudno, żeby synowi za to festynami dziękował.

— A kto wie, bo to już tak dawno się stało — może zapomniał.

Rozśmiałem się z tego naiwnego pojmowania rzeczy pana Atanazego i pożegnałem go radą, że jeżeli burmistrz zapomniał o batach i o księciu, to może lepiéjby mu było nie przypominać i o przyjeździe księcia nic nie mówić.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy w godzinę potém po téj rozmowie z Naziem przechodząc koło ratusza (tak nazywała się drewniana buda na środku rynku) ujrzałem gromadę ludzi tłoczących się z podniesionemi głowami i wyciągniętemi szyjami dla przeczytania przylepionego na rogu ogłoszenia, które brzmiało:

Burmistrz miasta Pipidówki

Do Szanownych Obywateli!

Niesłychany honor spotyka miasto nasze, książe F. przyobiecał miłościwie zaszczycić je swoją obecnością na dniu 14 b. m. Wysokie stanowisko i wpływ jakie ten dostojnik ma w świecie i u dworu, znana staropolska gościnność szanownych obywateli Pipidówki, uwalniają mnie od zachęcenia ich do odpowiedniego przyjęcia tak znakomitéj osoby. Pewny jestem, że nie zaniedbają uczynić to wszystko, co interes i honor naszego miasta wymagać będzie, a mianowicie, że ozdobią okna domów swoich dywanami, chorągiewkami, kwiatami, transparentami, że oświecą rzęsiście wieczorem miasto całe, że nie będą szczędzić wiwatów na powitanie wjeżdżającego księcia, że wszyscy w świątecznych występują strojach i uśmiechniętych twarzach. Dobro kraju i tradycyjna czołobitność dla wielkich imion wymagają tego od nas. podpisano

Pipidówka d. 11 b. m. Agapit Drumdrumski, burmistrz.

Osłupiałem z podziwu nad tym aktem chrześciańskiéj pokory i pospieszyłem coprędzéj do mieszkania burmistrza złożyć hołd jednéj z cnót reprezentowanéj przez jego zaokrągloną postać. Zastałem go mocno zajętego: pisał, dyktował, wydawał rozkazy; aplikanci, woźni, służący, wszystko to kręciło się koło niego, wbiegało, wybiegało, krzątało się, ruszało. Gdy mnie burmistrz zobaczył wchodzącego, poskoczył ku mnie ucieszony i rzekł:

— Wiesz pan? książę przyjeżdża. Powiadam ci, nie posiadam się z radości.

— Pan? spytałem zdziwiony.

— A naturalnie. A cóż to, nie wiesz jakie znaczenie książę ma u dworu? Kto wie jaką łaskę może wyświadczyć naszemu miastu.

Tu wziąwszy mnie pod rękę, poprowadził do drugiego pokoju i przymknąwszy drzwi, kończył zniżonym głosem:

— Może szpital waryjatów, o który się tak Lwów z Krakowem ubiegają, przeniesie do naszego miasta. Toż toby się podniosło panie.

— Przez waryjatów.

— A bardzo naturalnie. A może podatki umniejszy, może stacyją bydła tu zrobi. Kto to wie? Inaczéjby panie człowiek przy bydle wyglądał niż teraz. A, miasto by zyskało. A tak, jak nie będzie miało ani bydła, ani waryjatów, to za kilka lat kompletnie podupaść musi. Przedstawię mu tę rzecz, polecę. — A mówiąc o bydle, nie zapomnę i o sobie słowo szepnąć.

— Bardzo słusznie.

— Ta to teraz czytam, ordery sypią się ze dworu aż strach, a człowiek panie po tylu latach służby nie ma żadnéj dekoracyi, to wstyd. A on wiele może. — To téż przyjmiemy go po królewsku. — Panie Pisczykowski — rzekł uchylając drzwi — napisz pan do dziedzica Pardołowki o 20 fur najlepszéj choiny do ubrania bram i łuków tryumfalnych. Grzesiu! weźmiesz aresztantów i każesz miasto porządnie zamieść, kałuże kamieniami zasypać.

— Kiedy z przeproszeniem pana burmistrza, aresztantów tylko dwóch teraz mamy.

— O łotry! to wtedy kradną, kiedy ich nie potrzeba, a teraz to ich nie ma. — Aresztować wszystkich włóczęgów i żebraków coprędzéj. Ja aresztantów mieć muszę. — A ty — mówił do woźnego — czuwaj, aby pachołki, mający stać z halabardami przed ratuszem, nie byli pijani i ubrani jak się patrzy.

— Walkoziowi aresztant uciekając, zabrał mundur, a Prokopowi tak się wytarł, że nitki na nim porachować można.

— Pewno w szynku. Pfe, to paskudnie, żeby figura urzędowa urzędową rzecz tak wycierała po knajpach. Nauczę ja go mieć lepszy respekt dla grosza publicznego.

— A choćby ich przebrać w te blachy co się w nie stroją na Wielki-Piątek do grobu.

Brawo, bravissimo, Hryciu! za ten pomysł wart jesteś milijony. Masz 20 krajcarów na piwo. Wybornie, doskonale. To będzie spektownie i po rycersku wyglądać. Postawi się ich potém, jak już przed ratuszem nie będą potrzebni — z pochodniami w ręce przed salą balową. — Bo wiesz pan — mówił znowu do mnie — że oprócz teatru, będzie i bal dla dostojnego gościa. A jakże, będzie — kosztem miasta. Boję się tylko, że mieszczaństwa się napcha jak śledzi, żeby się tylko otrzeć o księcia i zbliżyć do niego. A trudno ich wyprosić, kiedy bal za ich pieniądze. Ale i na to znalazł się sposób. Wystosowałem do każdego list, rodzaj zaproszenia, radząc, aby nie przychodzili. Wystawiłem im ciasnotę sali, napływ gości z okolicy i t. d., a w końcu wyraziłem życzenie (że nie powiem żądanie), że interes kraju tego wymaga, aby wszyscy w narodowych kostiumach tj. kontuszach, karabelach i t. d. wystąpili. — W taki sposób wielom się zamknie delikatnie drzwi przed nosem, bo oniby tu w kapotach gotowi powłazić — pan ich nie znasz jeszcze. To bydło panie.

— A pan lubisz bydło — rzekłem śmiejąc się.

— To była panie przenośnia. Co pan chcesz? Ta to już Aaron Pinkies i Hirsch Treler w jupicach panie na ten bal się wybierali. Zabronić im wprost nie było podobna, bo widzisz pan (nie trzeba panu mówić), człowiek ma względem nich pewne obowiązki — a tak kontuszem wszystko się panie załatwiło : i idea narodowa podniesiona i kompromitacyja usunięta.

— Pomysł genialny.

— Nie chwalę się — rzekł burmistrz skromnie — ale nie od kształtu człowiek głowę nosi, i gdyby nie zbieg okoliczności, nie marnowałoby się swoich zdolności w lichéj Pipidówce.

W téj chwili w kancelaryi dał się słyszeć głośny i pospieszny szwargot.

— Gdzie jest pan burmistrz? gdzie pan burmistrz?

— Masz tobie — to Pinkies — będzie scena — rzekł do mnie burmistrz.

Drzwi się otwarły i wszedł a raczéj wpadł przez nie pan Aaron Pinkies, właściciel bławatnego sklepu, nizki, podstarni już nieco, z dużą kędzierzawą głową. W ręku trzymał list burmistrza.

— Panie burmistrzu, co to ma znaczyć, że na bał musi być kontusz? Dla czego musi? Czy tu Rosyja, żeby komu przepisywać, jak się ma ubieracz? Czy to mi przeciw takim bezprawiom nie mamy konstytucy (sic)?

— Ale widzisz pan panie Pinkies, tu nie ma rozkazu, ale honor narodu i miasta wymaga, żebyśmy po naszemu wystąpili.

— A czemuż panowie tyle lat obchodzili się bez tego honor — hę? To kiedy ja chodził z polska, w naszym żydowskim kontuszu, w pasie i buty — to pan burmistrz nie dał mi przejść przez ulicę, żeby nie powiedzieć: „Pinkies, czemu ty taki niepostępowy, bez cywiłyzacyi?“ A teraz, kiedym się wyrzekł staréj moda ojców moich, to wi teraz mówicie, że ta moja cywiłyzacyja to niehonor — hę? — Ja przebierał się nie będę, bo ja nie kimedyjant żaden — z przeproszeniem pana — dodał zwracając się do mnie — a na balu będę. Bo mój syn jedzie do Wiedeń na edukacyj, to książę musi go widziecz, a i ziony moja.

— Ależ to mój panie Pinkies będzie niepodobna prawie.

— Jakto niepodobna — hę? — Jak ja nie będzie na balu, to bał nie będzie — rozumiesz pan. Ja panu Giętkogipski nie pożyczam ani cent, pani konsyliarzowéj odbieram brylanty, których nie płaci, a żonie i corkom pańskim za centa nie zborguje materyi — pod chajrem, jakem Pinkies.

— Ależ kiedy gorączka z pana — rzekł burmistrz zatrzymując rozgorączkowanego, który się już zabierał do wyjścia — ta to kontusz nie jest żądaniem, ale że nie powiem, tylko życzeniem mojém. Kto chce może się do niego zastósować lub nie — przymusu nie ma.

— Nu, tak to inna rzecz. Teraz możemy gadać. Wiele panu potrzeba organtyny na salę?

— Będą tam do pana kochany panie Pinkies i inne sprawuneczki. Wszystko to wypiszę panu. — Ale, ale, panie Piszczykowski, czy kazałeś robić blacharzowi herb miasta?

— Kazałem, ale blacharz nie wie jaki ma herb miasto.

— No herb, zwyczajny herb.

— Z jakiém godłem?

Burmistrz zrobił duże oczy, spojrzał na mnie, na Pinkesa, na aplikanta.

— Dalibóg, że nie wiem. Przypominam sobie, że jak tu nastałem, nad ratuszem wisiała jakaś stara blacha z herbem, ale Bóg to raczy wiedzieć, gdzie ona się podziała. Choćby wykoncypować jaki na prędce. Panie literata, pan masz głowę do tego dobrą — co pan myślisz?

— Dać rogi z uszami. Przy prośbie pańskiéj o bydło, będzie się można na to odwołać, jak na przywilej.

— Wyborna myśl! Panie Piszczykowski, każ mi pan coprędzéj robić rogi. — A jesteś i pan, panie Wszędobylski. Dowiedz się pan, że głosem wszystkich pań zostałeś wybrany na Vortänzera.

Nazio skłonił się skromnie. Nowa godność włożona na barki jego, dodała mu niezwykłéj powagi.

— Będę się starał — odrzekł — godnie odpowiedzieć włożonemu na mnie obowiązkowi. Proszę tylko pana wskazać mi wielkość i kształt sali, a pewny jestem, że nie powstydzę się i miasto nie będzie żałować zaufania, jakiém mnie zaszczycić raczyło. (Dok. n.)

Ostatnia prośba.

W górach proszę pochowajcie,
Przy kościołku, pod lip cieniem;
Ziemi trochę na grób dajcie,
I otoczcie go wspomnieniem,
Które zabrać chcę ze świata.
Niechaj wietrzyk co zawieje,
Niech ptaszyna co przelata,
Mówią, co się w górach dzieje;
Rzeczka co swą skargę głosi,
Że ją w równie losy gnają,
Niech swym szeptem mi donosi
Czy tam o mnie pamiętają?

W kuźniach niech mi krzyżyk zrobią,
Ale czarny, skromny, mały,
Niech go niczém nie ozdobią,
I tak dosyć będzie trwały.

O! bo żadna ręka drząca
Na nim długo nie zabawi,
Ani żadna łza paląca
Rdzawéj plamki nie zostawi.

Ten krzyżyczek bardzo ciężał
Po nad życia mego drogą,
On mi ścieżkę szczęścia zwężał
W końcu, całą zamknął sobą.
Lecz téż za to się nie boję,
Że nademną go postawię,
Bo tych jego ramion dwoje
Poza świat mi błogosławią. —
A kto łez wypłakał tyle,
Nie badanych bratnim wzrokiem,
Ten, gdy stanie na mogile,
O! to z suchém stanie okiem.
Szepnę cicho; „bądźcie zdrowi“,
By nie przerwać zabaw biegu,
Może mi nikt nie odpowie —
I duch gwiazdką wzleci z brzegu.

H. W.

Z PRZYRODY.

KOT.

„Quelle est gracieuse et gentille, sa petite tête posée sur sa petitte patte! Pauvre minette!“

E. Scribe: la Chatte métamorphosée en femme“.

Dla czego kot nie miałby mieć swojéj monografii, swojéj historyi naturalnéj szczegółowéj, tak jak pies, domowe zwierzę zarówno jak on, albo lew, którego jest co najmniéj kuzynem — boć i ten ogłoszony król zwierząt niczém innėm nie jest, tylko wielkim kotem, tak samo jak tygrys, pantera, lampart, ostrowidz itd.

Wszystkie te koty europejskie, azyjatyckie, afrykańskie mają pewne cechy wspólne: ten sam kształt głowy i uszów, ta sama sierść jedwabna i elektryczna, to samo skradanie się milczkiem i chyłkiem ułatwione przez poduszeczki mięsne pod łapami, te same pazury ze ściągaczami, ten sam połysk oczu obdarzonych zdolnością widzenia w nocy, co pochodzi z łatwéj rozciągliwości źrenicy, te same wąsy, ten sam ostry, pilnikowaty język, te same obyczaje, ten sam sposób połowu, czychając na zdobycz, te same muszkularne ruchy, skoki, aby ją pochwycić, czy to będzie wół dla tygrysa, czy mysz dla kota.

Jedyną różnicą może jest, że z całego rodu, jeden tylko nasz zwykły kot jest ułaskawiony i pożyteczny dla człowieka, chociaż Cuvier utrzymuje, że zarówno lew i tygrys daliby się obłaskawić.

Dla czegóż więc kot nie miałby mieć swojéj monografii, jeżeli inne zwierzęta tylu mają historyków — jak np. o mrówce, o ptaku, o owadach pisał Michelet, o jaskółkach, o bocianach, o wróblu K. Wodzicki, o ośle Borkowski, a iluż o pszczołach... itd.

Ma jednak i kot dzieła o sobie, a nawet świeżo wyszło nowe z ilustracyjami, które przedstawiają, albo portrety kotów, albo obrazy z ich życia. Księga ta p. Charles Ross nazywa się: *The bookof cast* — księga o kotach.

Mówi on tam: „Kot jest domownikiem niewiernym, którego się chowa tylko z konieczności naprzeciw innego nieprzyjaciela domowego jeszcze więcéj dokuczającego. Chociaż te zwierzęta, zwłaszcza za młodu, mają wdzięk i układ szlachetny, lecz zarazem mają złośliwość wrodzoną, charakter fałszywy, usposobienie przewrotne, które z wiekiem wzrasta, a które pod wychowanie tylko jak pod maskę się podszywa. Ze skończonych złodziei stają się jedynie, jeżeli są dobrze wychowane, układnemi i zwodniczemi filutami, mają tę samą zręczność, subtelność, tę samą przyjemność, aby co zbroić, tę samą skłonność do małych łupiectw i paskudowania. Jak oszuści, umieją pokryć swoje kroki, maskować swoje zamiary, czyhać na sposobność, oczekiwać, wybierać, uchwycić chwilę do zadania ciosu, następnie umknąć przed karą, schować się i nie pokazywać tak długo, aż znowu ich zawołają. Przyjmują one łatwo zwyczaje towarzyskie, nigdy obyczai. Mają tylko pozór przywiązania, widać to po ich ruchach krętych, po oczach dwuznacznych, nie patrzą nigdy w oczy swojemu panu, czy to z nieufności, czy z fałszywości zbliżają się bokiem, karesy o tyle je obchodzą, o ile im są przyjemne. We wszystkiém przeciwieństwo do tego wiernego zwierzęcia, którego wszystkie uczucia odnoszą się do osoby pana. Kot zdaje się czuć tylko dla siebie, kochać tylko pod warunkiem, jeżeli się z kim wdaje to tylko, aby nadużyć zażyłości; i z powodu tych właściwości łatwiéj zgodzi się z człowiekiem jak z psem, u którego wszystko jest szczérem“.

Jest to cały arsenał zarzutów, z jakiemi mógłby wystąpić prokurator chcący całą rasę przed trybunałem oskarżać. Byłyby to dowody dostateczne, aby oskarżonych skazać na galery, a na wieczne wygnanie wszystkich wspólników, krewnych, dzieci i wnuki.

Ale jest to mniemanie stronnicze i zawzięte, naprzeciw któremu można postawić mnogie świadectwa. I tak np. słynny naturalista i podróżnik Sonini, współpracownik „Buffona“, powiada o swojéj angorskiéj kotce: „Zwierzę to było w ciągu lat mojém najsłodszem towarzystwem. Ileż to razy jego czułe karesa pocieszały mnie w niepowodzeniach i zapominałem o znudzeniu. Po kilku dniach cierpienia, podczas których nieopuszczałem jéj ani na chwilę, oczy jéj utkwione we mnie, przygasły, i strata jéj napełniła moje serce boleścią“.

A jakiż to panegiryk dla kotów wypisała w jednym z swoich miłych listów, dowcipna i zachwycająca pani de Custine! Oto co mówi:

„Zakrzyczycie mnie, jeżeli wam powiem, że przywiązanie psów wcale mnie nie wzrusza. Mają minę skazanych na to, aby nas kochać; są to maszyny na wierność, a znacie mój wstręt do maszyn. Obudzają we mnie osobistą nieprzyjaźń. Niech żyją koty! i bez wszelkiego paradoksu wolę je jak psów. Są więcéj wolne, więcéj niepodległe, więcéj naturalne. Ludzka cywilizacyja nie stała się dla nich drugą naturą. Są więcéj pierwotne jak psy, więcéj gracyjne; biorą od społeczeństwa tylko to, co im odpowiada i mają zawsze tuż obok salonu kryjówkę, aby tam być tém, czém je stwórca chciał mieć; i żartować sobie z swojego tyrana. Jeżeli przypadkiem kochają tego tyrana, to nie jakoby upośledzeni niewolnicy, nie jak nędzne psy liżące rękę, która je bije, i które są wierne tylko dla tego, że nie mają na tyle sprytu, aby się zdobyć na niestałość. W przywiązaniu kotów jest wybór, powzięte zdanie, przeciwnie u psów widzę tylko tępość umysłu. Jeżeli zawsze oddawano pierwszeństwo psom, to reputacyja ich jest tylko dziełem dumy ludzkiéj. Pies jest kreaturą człowieka. To głupie bydlę nie jest już tém, czém go Stwórca zrobił, to produkt towarzystwa. Jest to jakoby jedna z tych roślin o podwójnych kwiatach, które istnieją tylko sztuczną uprawą, i które lubownicy tém więcéj cenią, ile, że są one ich dziełem".

Jest w tym panegiryku kilka trafnych rysów tak co do ludzi, jak i co do psów. Autorka mogłaby posłużyć ku usprawiedliwieniu epigramatycznéj idei owego szewca, który miał za godło but, a z niego wysterczały trzy głowy: małpy, kota i kobiety, a u dołu był napis:

„Pod butem pełnym złośliwości".

Eugieniusz Scribe, najlepszy z ludzi, co nie przeszkadza, że lubi być złośliwym, powiada w swojéj Kotce przemienionéj w kobietę, a raczéj mówi tam Minetka: „Pamiętajcie, że byłam kotką, że jestem kobietą, a te dwie natury razem skombinowane, to coś okropnego"! Lecz Gwido odzywa się tamże: „mojéj kotce mogłem przepuścić wiele rzeczy, ktorychbym nigdy nie przepuścił mojéj żonie".

Oczywiście, że Scribe był stronniczym dla kotów, jako pochodzący z domu kupieckiego pod godłem czarnego kota.

Pomiędzy sławnymi przyjaciółmi kotów należy jeszcze przytoczyć Mahometa, który dla swojéj kotki miał taki afekt, że wolał uciąć rękaw od swojéj sukni, na którym sobie spała jego ulubiona kycia, niż żeby ją miał obudzić. Na pamiątkę tego wypadku założyli nawet uczniowie proroka w Damaszku gościnny dom dla kotów.

Petrarka tylko jedną Laurę więcéj kochał od swojéj kotki, którą kazał zabalsamować na sposób egipski, kiedy mu przyszło rozstać się z nią.

Jeden z najudatniejszych sonetów Tassa jest poświęcony kotce. Kardynał Wolsey ilekroć zasiadał na kanclerskiéj stolicy, aby dawać posłuchania, miał zawsze swojego kota obok siebie.

Naturalnie, że koty sławne należą do historyi ludzi sławnych, z którymi ich losy łączyły. Słusznie więc podług p. Ross monografia kocia należy do biobrafii uniwersalnéj, jeżeli nie do historyi powszechnéj. P. Ross jest dla kotów Plutarchem, tak jak ich Rafaelem jest malarz szwajcarski Gottfried Mind, uczeń Frendenbergera, którego w téj gałęzi sztuki przewyższył.

W Europie znane są tylko dwa rodzaje kotów: domowy i dziki, o jednę trzecią większy. Pod względem barwy przytaczają jako odmianę kota hiszpańskiego; jest on cały rudy, albo mięszany rudy, czarny i biały. Co do sierści rozróżniają kota: chartreuse włos delikatny, szary; i kota angora, włos długi, jedwabny, biały, rzadko centkowany, ogon kiściasty. Dopiero Europejczycy w nowszych czasach zawieźli koty we wszystkie strony ziemi, a rozmaitość klimatów mało na nich wpływa. U starożytnych był kot zwykłym tylko u Egipcyjan; Grecy zaledwo go znali, w Rzymie był rzadkim, na szczęście dla lesbijskich wróbli. W Azyi są te rodzaje dzikie, które ryczą, a nie miauczą.

Księga p. Ross obejmuje następujące rozdziały: Zoologia kocia, Potwarze przeciw kotom, Obyczaje i zwyczaje kotów, Kot Whitlingtona i innych podróżników, Rozmaite rodzaje kotów, dawne i nowe, O kotach przemyślnych, O kotach miłych i o kotkach, które były dobremi matkami, Przysłowia o kotach, Koty przyjaciele starych niewiast, O kotach smakoszach, O kotach czarownikach i kotkach czarownicach — Ilość kotów i handel mięsem kociém.

Widać z samych tytułów, że autor chciał zająć swoim przedmiotem wszelkiego rodzaju czytelników i czytelniczki — dosyć tu przytoczyć z ostatniego rozdziału, że liczba kotów w Londynie wynosi 350,000, jeden na dom, albo na trzech mieszkańców — podwójnie tyle, co psów. — Według wskazówek autora podamy tu niektóre ciekawe wyjątki. (C. d. n.)

TEATR. — Jest to zawsze pewne rozczarowanie, jeżeli człowiek wybierze się na komedyję, usposobi się do śmiechu i wesołości, a tu tymczasem sztuka płakać mu każe i co prędzéj chusteczki dobywać z kieszeni. Ten zawód, choćby sztuka była nawet dobra, budzi pewne niezadowolnienie. Pod takiém wrażeniem była publiczność na przedstawieniu komedyi (?) Oktawa Feuilleta p. t.: „Montjoye". — Tytuł i pierwszy akt zapowiadają rzeczywiście komedyją w dość obszernych ra-

mach; tymczasem ku wielkiemu zdziwieniu widza w następnych aktach pojawia się w orkiestrze czarna laseczka kapelmistrza, na scenę wyłażą pojedynki, łzy, mdłości, rozpacze i komedyja przemienia się w smutną melodramę. A jakkolwiek to są sceny znakomite, pełne efektu i głębokich wzruszeń; przecież nam się zdaje zawsze, że to jest wadą sztuki, jeżeli w niéj autor nie umiał środkami, jakich mu dostarcza komedyja wyrazić swojéj myśli i musiał się uciec do pożyczki, i wypłacił się publiczności sentymentem, zamiast dowcipem i humorem, o który nierównie trudniéj. Nie przeczę, że w większéj komedyi trudno nie potrącić o momenta dramatyczne, ale to powinny być tylko momenta, których wrażenie ginie wśród humoru i komiki jak np. scena nocna „w naszych najserdeczniejszych", kilka scen „w starych kawalerach" itd.; ale w „Montjoye" żywioł dramatyczny całkiem wypędza komedyję ze sceny i zagarnia wszystkie postacie, wszystkie sceny dla siebie. Wina to nie tyle autora, ile przedmiotu. Śmiać się można z wad, z ułomności i śmieszności ludzkich; ale tam, gdzie podkopane są stosunki rodzinne, gdzie egoizm graniczy ze zbrodnią, śmiech już ustaje. — W takich warunkach znajduje się właśnie „Montjoye". W pierwszym akcie widzimy go jako zimnego spekulanta, egoistę, dogadzającego swoim zachceniom; a Saladin dawny znajomy jego, człowiek żyjący ciągle dla drugich, poświęcający się wiecznie, za co dostał w nagrodę od losu wytarty surdut z poobrywanemi guzikami, dziurawe rękawiczki i stary kapelusz— jest doskonałym kontrastem jego. Tu jeszcze czuć świeży oddech komedyi. — Ale w następnych aktach wychodzą na wierzch wszystkie plamy moralne. Dowiadujemy się, że żona pana Montjoya nie jest jego żoną, że dzieci są nieślubne, i to dla żadnych innych powodów tylko, że wygodny Montjoye nie chciał krępować swobody życia ślubem, stalszém zobowiązaniem się. Daléj pokazuje się, że świetny stan majątkowy pana Montjoye ma za podstawę podłe oszustwo wspólnika; a lubo Montjoye chce synowi tego wspólnika wynagrodzić to, ofiarując mu korzystne u siebie miejsce, a potem i rękę swéj córki — to jednak nie skrucha, nie żaden moralny bodziec wiedzie go do tego; ale poprostu interes. Chce być wybrany na deputowanego, idzie mu więc o opiniję, o zatarcie brudów przeszłości. I udało mu się to wybornie. Poczciwy Saladin gardłuje za nim, Jerzy de Sorel nie wiedząc o tém, że przyjmuje dobrodziejstwa od tego, który zrujnował jego ojca, zniesławił jego imię i był przyczyną śmierci tegoż; z radością przyjmuje rękę jego córki. Wszystko idzie gładko. Ale naraz powodzenie Montjoya utyka o dwie na pozór małe zawady — są niemi margrabina i kasyjer jego Tiberge. — Zmysłowy Montjoye wchodzi w dość dwuznaczny stosunek z margrabiną i ofiaruje jéj mieszkanie w swoim domu. Żona jego opiera się temu, aby kochanka męża mieszkała pod tym samym dachem co jego córka — następuje więc rozłączenie rodziny. — Jest to jedna z najefektowniejszych scen, kiedy rodzice oznajmując dzieciom myśl rozłączenia się, każą im wybierać między sobą. Córka idzie za matką, syn to samoby zrobił, gdyby nie wzgląd na to, że ojciec sam zostaje. Montjoye dotknięty tém, cierpko przyjmuje ofiarę syna, a mierząc ją własną miarą podejrzywa go, że dla pieniędzy zostaje przy nim. Roland chłopiec lekki i zepsuty, ale nie bez szlachetnych popędów, oburza się tém, porzuca ojca i wstępuje do wojska. Jeszcze jeden cios czeka Montjoya, odbiera go z ręki Tibergea. Tiberge jest panem tajemnicy owego oszustwa, a zarazem kasyjerem u Montjoya. Jest to najkomiczniejsza postać w całéj sztuce, ale zarazem najniesmaczniejsza, bo wiecznie mu się zbiera na moralność i szlachetność, a nigdy nie może się zdobyć na nią, ciągle zabiera się do wydania tajemnicy, a ciągle ją odkłada na późniéj, w czém jedyny powód przedłużania akcyi i zawikłań. Wreszcie odważa się na to w najmniéj odpowiedniéj chwili i odkrywa Jerzemu sprawcę nieszczęścia ojca. Jerzy chce mu przebaczyć pod warunkiem, że spłaci poszkodowanych przez bankructwo ojca. To troszkę za wiele na spekulanta i egoistę. Następuje pojedynek — Jerzy ranny. Zniesławiony i opuszczony przez rodzinę Montjoya, czuje się złamanym. Bukiet, który mu córka posłała, jak to dawniéj codzień czynić zwykła, obudza w nim szlachetniejsze, czulsze strony; z obrzydzeniem zrywa nieprawy stosunek z margrabiną, zrzeka się wyboru na deputowanego i znika. — Po pewnym czasie wraca z pod Magenty z synem, którego tam ocalił, na łono rodziny — muzyka zaczyna grać *), członkowie rodziny się ściskają, publika ze łzami w oczach przyklaskuje i koniec. A przepraszam — nie koniec jeszcze. Oklaski się powtarzają, publiczność nazwiskami aktorów szturmuje kurtynę, ta podnosi się i PP. Bakałowicz, Rapacki, Benda — a potem p. Aszperger i Ładnowski dostają brawo długie, przeciągłe. — I bardzo zasłużenie. Bo jeżeli sztuka ma pewne wady i niedostatki w budowie i akcyi, jeżeli zarzucić jéj można niektóre rozwlekłe a nawet niepotrzebne dyjalogi, (jak np. w akcie II. opowiadanie majora i inne) — to grze artystów nic zarzucić nie można. Wszystko, co było w sztuce pięknego, starali się grą swoją podnieść i uwydatnić. Pan Benda główną rolę Montjoya, stawia-

*) Stało się teraz modą po teatrach francuskich wprowadzać muzykę do utworów dramatycznych. Muzyka ma potęgować wrażenie silniejszych scen, dopełniać grę artysty. Ale to jest przeciw prawdzie. W codziennem życiu wielkim boleściom i wzruszeniom nie przygrywa orkiestra. Dla czegoż ma im towarzyszyć na scenie? Dobra gra i dobra sztuka obejdą się bez tych sztucznych środków. „Franciszkowi Mohrowi", ani „Hamletowi" w najtragiczniejszych chwilach nie przygrywa muzyka.

jącą tyle trudności dla aktora, oddał bardzo dobrze; szczególniéj sceny przy rozdziale rodziny i z bukietem w sypialni córki, należały do najlepszych. W téj ostatniéj zarzucilibyśmy mu tylko przejście do łóżka*), chód jego wtedy nie był chwiejny, ale trzęsący się jak u ludzi zdenerwowanych. — Pojawienie się p. Rapackiego w pierwszym akcie (w roli Saladina) wywołała huczne oklaski. Typ człowieka podupadłego, jaki często spotykamy w większych szczególnie miastach, kryjącego nędzę białym krawatem, dziurawemi rękawiczkami i resztkami dawnéj toalety, stanął żywo przed nami. Ruchy, twarz, ubiór, mowa łudziły każdego, że tę postać gdzieś już widział czy w jakim zaułku, czy wsuwającą się do jego mieszkania z nieśmiałą prośbą. — O grze innych artystów wieleby się także dało powiedzieć, spodziewam się jednak, że przez grzeczność ustąpią więcéj miejsca w niniejszéj recenzyi miłemu gościowi z Warszawy. Chcę tu mówić o pani Bakałowicz, występującéj w roli Cecylii, córki Montjoya.

Cecylija jest najjaśniejszym punktem sztuki, wśród mętnych charakterów i smutnych scen pojawienie się jéj jest prawdziwą oazą dla znużonego oka i myśli; totéż artystka w téj roli musi miéć wszystkie warunki, które upragnionêm czynią pojawienie się jéj na scenie, a te warunki p. Bakałowicz ma w wysokim stopniu. Rzadko o osóbkę tak sympatyczną, jaką jest p. B. na scenie; głos, ruchy, powierzchowność są jakby umyślnie stworzone do ról naiwnych, które są specyjalnością artystki. Skala jéj ról nie szeroka, ale w zakresie, który jéj natura i talent przeznaczyły, wykończone jest wszystko z miniaturową dokładnością i wdziękiem. Nie dziwimy się wcale, że młode pokolenie warszawskie, pensyjonarki i studenci przepadają za jéj grą, bo téż ona umiała podpatrzeć ten świat młody, naiwny, wystudyjowała każde mrugnięcie oka, każdy grymas, każdą pieszczotę, każdy najdelikatniejszy odcień uczucia — i to stanowi urok jéj gry, têm ona zachwyca i porywa. Miękkie, pieszczotliwe natury, jaką jest np. Cecylia córka Montyoya, są typami stworzonemi dla niéj i przez nią. Na Justysię (w komedyi „Mąż i żona"), lubo ją grała z wielką prawdą, była za poczciwą, za czułą nieco; również w Bercie silniéj umiała artystka uwydatniać sceny, w których przez powłokę arystokratyczną przebija serce, rozmarzenie. Za to w „Wicehrabi Letorrier"-gra jéj jedynie podtrzymuje zajęcie publiczności i sztukę dosyć lichą, będącą przeróbką z jakiéjś powieści przestarzałéj. Cała rzecz sztuki i intryga polega na têm, że młody wicehrabia ma niepospolity talent zjednywania sobie serc. Pani Bakałowicz wywiązała się z tego znakomicie; w chłopięcych jéj ruchach było tyle wdzięku, w mrugających oczach tyle powabu i kokieteryi, że nietylko osoby sztuki jak księcia, adwokata (którego p. Benda grał wybornie), oczarować i zjednać sobie umiała, ale i całą publiczność, która ciągłemi oklaskami manifestowała swój zapał. — Występy gościnne pani Bakałowicz na scenie naszéj, powinny stać się korzystną szkołą dla p. Bauman. — Nazajutrz po przedstawieniu Wicehrabiego Letorrier, wyjechała artystka do Lwowa. Grzeczny Lwów w zamian przysłał nam pp. Nowakowskich. Pan Lech Nowakowski występował już w roli trefuisia w „Paziach" i „Barona" w partyi Pikiety — żona zaś jego w „Przysłudze" (Cecylia) i w „Poczwarce". — Sprawozdanie z tych występów i następnych, obejmie przyszły numer. *B.*

*) Łóżko było umieszczone w **oknie** czy we **drzwiach** tylnéj kulisy. Jestto dowód zaniedbania zakulisowego gospodarstwa, powtarzającego się teraz dość często. I tak widzimy teraz na scenie Krakowianki w **lokach** z kręconemi włosami i inne tym podobne nowości. Być może, że to ładniéj, ale jeżeli idzie koniecznie tylko o popis wdzięków a nie o prawdę estetyczną, to może lepiéjby było ubierać się za Krakowianki w atlasy i dekoltowane suknie, jeżeli reżyszeryja teatru zostawia w tym względzie wolność zupełną.

Kronika. PP. Klaczko i Dr. Gałęzowski nawiedzili miasto nasze.— O pierwszym piszemy na wstępie — o sprawie szkoły na Batignolles, którą się Dr. G. zajmuje, napiszemy następnie. Przyjęcia te, toasta itd. ożywiły miasto nasze aż do zakątów, tak dalece, iż komu brakło odwagi wystąpić na tych zebraniach z mową, ten sobie wynagradzał tę stratę w **knajpowych mityngach**. Opowiadają nam, że pewien człowieczek, literat podobnoć i publicysta — postanowił dla siebie i podobnych sobie, niemających ani talentu, ani wiedzy, ani charakteru, ani śmiałości do zabierania głosu na zgromadzeniach **jawnych**, otworzyć **przecież** sposób do **miotania językiem**, odwilżając go piwem i czerpiąc natchnienie w knajpowym dymie i hałasie. Jeżeli to prawda, to możemy się spodziewać, że wraz z zwiększoną konsumcyją piwa przybywać nam będzie coraz więcéj plotek i awantur.

— Sekcyje kasyna literacko-artystycznego obradując w spólnym lokalu, przygotowują się do zimowéj kampanii — nie chcemy jednak **uprzedzać wypadków** — jak mówią politycy — i ustępujemy dzisiaj miejsca kronikarzowi z okolicy. — Oto co nam pisze:

Z pod **Tenczyńskiéj góry**. — *(Tiberius i Izabella. — Krzeszowice i Gramatyka. — Nieznana Autorka.)*

O Październiku! „Die schönen Tage von Aranjuez sind schon vorüber".

Krzeszowice porą letnią takie rozkoszne, tak ożywione, rojące się co święto mnóstwem hożych Krakowianek i rozweselonych po całotygodniowêm zajęciu Krakowian, obecnie ciche i mało zaludnione. Łazienki, Pawilon i inne przez gości kąpielowych poprzednio przepełnione budynki stoją głuche i ponure, a wicher miecie na nie tumany zżółkłych liści jesiennych.

Z tych smutnych rozmyślań wyrwał mnie żałosny pisk Tiberiusa.

Lokomotywa „Tiberius" ciągnąc za sobą długi szereg wagonów z prawdziwie majestatyczną powagą, zajechała zwolna przed dworzec Krzeszowicki.

Wkrótce równie poważnie wjechała „Dyana", a za nią nie-

mniejszy jak za Tiberiusem sznur wagonów. Exbogini i Eximperator mijając, powitali się długo tłumionym bolesnym jękiem współczucia.

Podczas przystanku podróżni powysiadali. Spostrzegłem między nimi kilku delegatów naszego sejmu spieszących na posiedzenia Reichsrathu, a na których ostrzą sobie już ząbki stara i młoda „Presse“, widziałem znienawidzonego przez obie te niewiasty przewodnika „der polnischen feudal-clericalen Parthei“, ale że oczekiwanych znajomych z Krakowa między nimi nie było, więc znowu od ludzi wróciłem do obserwacyi lokomotywy.

Imperator, zmieniony po śmierci w lokomotywę, nie mógł się dotychczas jak się zdaje, oswoić z przykremi obowiązkami swego nowego stanu. Widocznie chciał sobie przedłużyć dozwolone mu przez wąsatego konduktora „trzi minut satrzimani“; parskał, puszczając niecierpliwie bokami parę; warczał, niechcąc ruszyć z miejsca, ale osmolony jak czart maszynista, prawdziwy kuchta piekielny, dosypywał mu co chwila żaru, aż exdespota „nolens volens“ ryknąwszy przeraźliwie z bólu, począł coraz szybciéj umykać z dworca krzeszowickiego.

Biedny Tiberius przypomniał mi mimowolnie swoją niefortunną „chère soeur“ królową Izabellę, któréj minioną potęgę wkrótce przypominać będzie chyba jaka lokomotywa. Dziwném zrządzeniem losu obaj expotentaci skazani na mimowolne kąpiele: Tiberius na gorącą łaźnię parową, Izabella na oczyszczające kąpiele w Pau, które jednak bezwątpienia ani jednego, ani drugiéj na nogi już pewno nie postawią.

Kąpiele krzeszowickie nie mające pretensyi do tak cudownych kuracyi, zgromadziły tego lata niemałą ilość słabych, a jeszcze większą zdrowych. Bo czyż zdrowy uciekający skwarném latem z dusznéj atmosfery miastowéj, z zamkniętych murami kamienic, rozpalonych chodników na szmaragdowe, orzeźwiającém powietrzem owiane łąki i cieniste gaje, może znaleść dogodniejsze i milsze schronienie? Zaciszne Krzeszowice, położone wśród wieńca rozległych borów, zasłonięte niejako niemi od reszty świata, posiadające rozległe przepyszne łąki, cieniste aleje, wdzięczny ogród kwiatowy i spacerowy, ozdobione gustownemi i wspaniałemi budowlami, połączone koleją i telegrafem z całym światem, są miłym zakątkiem, który choćby nie posiadał uzdrawiających w niejednéj słabości źródeł wody siarczanéj, ściągałby zawsze wdzięczném swém położeniem i pobliskością najpiękniejszych miejscowości, licznych miłośników pięknéj przyrody a mianowicie mieszkańców poblizkiego Krakowa.

Zaciszny ten zakątek upodobali sobie szczególniéj jak się zdaje miłujący nadewszystko spokój uczeni. Profesorowie wszechnicy krakowskiéj najliczniejszego zwykle gości kąpielowych dostarczają kontyngensu. Prócz nich ociemniały śpiewak Mohorta czas jakiś tu przebywał. I w téj ustroni uwielbienie i życzliwość umiały go odszukać i cieszyć się jego towarzystwem. Dzięki tym znakomitym gościom Krzeszowice doznały tego lata niemałego ulepszenia. — Do innych policzyć tu także muszę ulepszenie językowe, rozpoczęte od karty przylepionéj na łazienkach, a uwiadamiającéj publiczność, że „każdodziennie kąpieli używać może“. — To nowatorstwo językowe, które się urodziło za granicami gramatyki, ołówek jakiegoś purysty wymazał z liczby żyjących i wypisał na karcie: „codziennie“.

A kiedym się już rozgadał o uczonych, to muszę wam opowiedzieć o pewnéj osobiście, lubo z imienia i nazwiska nieznanéj mi autorce, z którą traf szczęśliwy zetknął mnie w wagonie kolei żelaznéj.

Było nas czworo: dwóch mężczyzn i dwie panie. Jedna z nich więcéj niż w średnim wieku, w czarne przybrana szaty, blada, brunetka, miała na głowie kapelusik, którego kształtu trudno było odgadnąć. Filuterny ten kapelusik na dość imponującéj swą objętością główce wyglądał niby ów niewielki głaz granitowy na wspaniałéj mogile Kościuszki.

Z pod kapelusika tego szczelnie do skroni przylepionego, wybiegały dwa czarne filutki, niby dwa hieroglify, z których wyczytać było można, że z główki, którą zdobiły, nie wywietrzała jeszcze zupełnie nadzieja weselszéj przyszłości. Po stroju bowiem żałobnym i melancholicznym uśmiechu okalającym usta naszéj turystki, domyślać się należało jéj wdowiego stanu.

Wdówka nasza, gdyż musiała nią być niezawodnie, pomimo całéj melancholicznéj powierzchowności, była niezmiernie ciekawą i gadatliwą, i zanim opuściliśmy dworzec kolei w Krakowie, wiedziała najdokładniéj nasze generalia, a nawet wiele ze specialiów, gdyż obcesowym jéj pytaniom trudno się było obronić.

— Kto jest ten pan — zagabnęła niecierpliwie mego towarzysza podróży, spostrzegłszy oddalającego się od wagonu jegomościa, z którym tenże przed chwilą właśnie rozmawiał.

— Jest to pan X. — odrzekł zagadnięty — znany pani zapewne zapewne autor wielu komedyj i powieści.

— Nie znam — odparła obojętnie wdówka.

— Tak, może nie osobiście, ale z pism bezwątpienia?

— Nie czytałam.

— Pani zdaje się nie jesteś obeznaną z naszą literaturą?

— I owszem, sama piszę.

Nie mając odwagi atakować daléj pytaniami nieznajomą autorkę, zapisujemy niniejszą wiadomość dla archeologów. Może im kiedyś uda się po tych znakach odszukać autorkę, która wprawdzie nic nie czyta, ale sama pisze. *Omikron.*

*** Nadesłaną nam odezwę z Wydawnictwa „Czytelni ludowéj“ w streszczeniu podajemy:

Wydawnictwo „Czytelni ludowéj“ zawiadamia Sz. Prenumeratorów, że dwie pierwsze książeczki, a mianowicie z działu I. J. K. Gregorowicza „Historyja o Pawle jedynaku“, z 10ciu drzeworytami Kostrzewskiego — i z działu V. A. K. Stelmasiewicza „Historyja Piotra Karasia z biednego rybaka, szlachcica i pana“, z 5ma drzeworytami Walerego Eliasza, już rozesłane zostały. — **Kalendarz** illustrowany za kilka dni rozesłanym będzie.

Mała liczba prenumeratorów, gdyż na kraj pięć milionów ludności liczący, zaledwie stukilkudziesięciu, zagraża wydawnictwu ruiną. Gdy zaś Kongresówka, mimo ogromnych kontrybucyj, wyczerpania i ucisku, podtrzymuje całemi siłami trzydzieści przeszło wydawnictw, a między temi kilka ludowych, mamy nadzieję, iż Galicyja swym braciom zawstydzić się nie da, i dowiedzie, że również jak oni w rozpowszechnieniu oświaty widzi jedyny ratunek podźwignięcia i pomyślności Ojczyzny.

Taniość książek zależy od liczby kupujących i czytających. W sąsiednich Czechach nakłady liczą się na dziesiątkitysięcy i dlatego wszystko rozchodzi się za bezcen.

Przedpłatę na wydawnictwo „Czytelni ludowéj“ przyjmują wszystkie c. k. Urzęda i stacyje pocztowe, oraz Administracyje „Czasu“ i „Kaliny“ w Krakowie, i Ajencyje tegoż pisma na prowincyi, „Dziennika Poznańskiego“ w Poznaniu, oraz wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne, albo wprost „Do Administracy

Wydawnictwa „Czytelni ludowéj“ A. Nowoleckiego w Krakowie, ulica Grodzka Nr. 67.

Przedpłata z przesyłką pocztową bez premii rocznie 4 złr. 30 c. Półrocznie 2 złr. 20 c. — Z dodaniem premium kalendarza na rok 1869, oraz pocztu królów i książąt, rocznie 5 zlr. — półrocznie 3 zlr, 10 c. w. a.

W całych Niemczech, W. Ks. Poznańskiém i Prusach zachodnich z przesyłką pocztową bez premii rocznie 2 Tal. 25 sgr. — półrocznie 1 Tal. 15 sgr. — Z dodaniem premium Kalendarza oraz Pocztu Królów i Książąt, rocznie 3 Tal. 10 sgr. — półrocznie 2 Tal 2 sgr.

W następnym numerze rozbierzemy obszerniéj te książeczki, dziś powiemy tylko, że Wydawnictwo doskonale pojęło ważność podniesienia literatury ludowéj i szczérze odpowiada swemu założeniu. O kalendarzu zaś illustrowanym na rok 1869 powiedzieć można bez przesady, że jest tak pod względem treści jako i czystego druku, jednym z najlepszych i najozdobniejszych jakie dotąd mamy z wydań galicyjskich. Dość wspomnieć imiona autorów, których prace zupełnie nowe pomieszczone są w rzeczonym kalendarzu, jak np. L. Siemińskiego, Anczyca, Gregorowicza, ks. Janoty, ks. Gryglewskiego, M. Ilnickiéj, W. Bylickiego, H. Witowskiego— aby mieć wyobrażenie, że jest to raczéj poważne i pożyteczne dziełko z 14tu arkuszy ścisłego druku, z mnóstwem przepysznych drzeworytów, które w skutek starannego druku, śmiało rywalizować może z najpierwszemi wydaniami zagranicznemi. — Nie wątpimy téż bynajmniéj, że najnowszy ten formą i treścią kalendarz zyska powszechne uznanie. — (Nabyć go można i w redakcyi „Kaliny“ za 65 c. — drugi zaś mniejszy, obejmujący li część kalendarską, z 12ma rycinami, za 25 c. — *Prenumeratorowie „Kaliny“ na żądanie otrzymywać je mogą franco.*) (Przyp. Red.)

⁂ **Warszawa** 24 Paźdz. — Mocno się tu dziwimy opieszałości Komitetu konkursowego dramatycznego we Lwowie. Rok przeszło upływa, a o rozstrzygnięciu ani słychać. Komitet czy Dyrekcyja teatralna powinnyby szczérzéj zająć się spełnieniem zadania, które tak rozgłośnie po całym kraju traktowano. Sztuki przedłożone na konkurs, odleżały się już należycie, a autorowie ich radziby wiedzieć co się z niemi dzieje, i w każdym razie spożytkować na innéj drodze swe utwory, które w ten sposób bezczynnie zalegają. Pokładano tak wiele nadziei i ufności w ogłoszoném rozporządzeniu komitetu konkursowego, że dziś poczynają się niecierpliwić ci nawet, których to tylko obchodzi pośrednio. Mężowie wymienieni w rzeczoném ogłoszeniu, zdawali się być najdoskonalszą rękojmią, tymczasem skutek dowiódł, że całéj maszynie kierowniczéj brakuje albo jednéj z najpoważniejszych sprężyn, albo jest całkowicie zepsutą. Jeżeli konkurs, będący zachętą dla wszystkich pisarzy dramatycznych, takie ma wydawać owoce, tak długo przewlekać ma swe wyroki, to lepiéj, iżby się stanowczo rozwiązał, tém więcéj, iż o ile nam wiadomo, wielu już autorów poodbierało swe sztuki.

⁂ **Humbug.** Nowojorski „Times“ pisze o zamierzonéj podróży A. Dumasa do Ameryki następujące banialuki: ...„Nietylko że będzie on miał odczyty z swoich powieści, pamiętników, dramatów, ale nadto będzie kierował osobnym teatrem i będzie się popisywał z swojemi kuchennemi zdolnościami — przyrządzając po każdym odczycie obiad dla swoich słuchaczów po 5 dolarów. Zamyśla téż wydawać dziennich ogromnych rozmiarów, pomagać przyszłemu prezydentowi Grantowi w jego urzędowych czynnościach, i pokazać w szeregu chemicznych doświadczeń, że wynaleziony przez niego gaz może być korzystnie do oświetlenia miast użyty. Przedstawiać będzie równocześnie Leara i Pocahontasa, a z Barnumem urządzi wyścigi. Nadto przyrzeka każdemu, kto kupi bilet na jego obiad, swoją fotografiją, i paczkę swojego cudownego proszku na leczenie obłąkania! Oto uniwersalność, oto blaga; ze strony dziennika niewiedzieć co większe, czy głupstwo, czy lekceważenie, czy téż znajomość publiczności!?

Mody na listopad.

Na porę jesienną przesyłamy Sz. Czytelniczkom opisy najnowszych paletotów i kapeluszy.

Dla dziewczynek od 10ciu do 12tu lat **najmodniejsze** są **płaszczyki z kortu** z okrągłą peleryną, lamowaną na cal szeroko atłasem tegoż koloru co kort.

Inny paletocik dla ośmioletniéj dziewczynki z korciku brązowego w tyle od szyi w głęboki fałd ułożony, dołem jedwabnemi kutasikami obszyty i w koło stanu paskiem opasany.

Paletot „**Ophelia**“, najnowszy, z aksamitu wełnianego, w tyle spada długi spiczasty kapiszon, spięty pięcioma fontaziami z atłasu i zakończony kutasem jedwabnym; naokoło paletota dołem obszyta grubą jedwabną frandzlą. Aksamit, atlas i frandzla są koloru ciemno-wiśniowego.

Paletot „**Pontis**“ z granatowego kortu, takimże atłasem suto ubrany. Atlas jest podwatowany i w paski gęsto pikowany, i tak przeszywanym atłasem boki paletota, rękawy i około szyi ubrane.

Casak „**Pompadour**“ jestto wcinany paletot z ciemno-zielonego pluszu, obszyty dołem frandzlą jedwabną. Od przodu do tyłu przez ramię takaż frandzla, szarfa jedwabna czarna podpina tył paletota w dużą buffę, nad którą spadają dwie pukle jedwabne z pod takiegoż paska, spiętego w stanie.

Paletot „**Louis XIV.**“ jest zupełnie równy z przodu, od dołu prawéj strony do ramienia lewego na guziki spięty, dołem w zęby aksamitem lamowany, od zeszycia z boków wychodzą aksamitne szarfy związane w tyle, podtrzymując suknię w dużą buffę.

Paletot „**Scaevola**“ polecamy jako bardzo skromny a zarazem gustowny. Zrobiony z brązowego wełnianego pluszu, pół wcięty, w tyle od dołu do góry na 3/8 łokcia rozcięty i na dwa cale szeroko atłasem brązowym obłożony, duże kieszenie obłożone atłasem.

Paletot „**Watteau**“ z wiśniowego cienkiego korciku lub aksamitu zrobiony pół wcięty, w tyle od karku w głęboki fałd ułożony, na którym od góry 1/4 łokcia przyszyta szmuklerska rozeta z dwoma kutasami; od dołu w tyle wycięty głęboki ząb. W tém wycięciu jest rozeta z kutasami taka sama jak z góry, boki od dołu są cokolwiek rozprute i spięte rozetą z kutasami. Cały paletot jest pięć razy grubą wypustką ze sznurkiem obszyty. — **Kroje do tych paletotów podaliśmy już dawniéj.**

Kapelusze okrągłe aksamitne ubierają piórami strusia lub czapli. Welony iluzionowe czarne, obszyte rulonem atłasowym i koronką, spięte pod twarzą fontaziem atłasowym.

Kapelusze wiązane dotąd bardzo małe, najmodniejsze z aksamitu niestrzyżonego, garnirowane atłasem i blondynami (tak zwane atłasowe). Dla osób starszych dają się w tyle podwójne woalki, lub buffy iluzionowe.

Opis ryciny.

Pierwsza osoba nosi **strój spacerowy** z popeliny mieniącéj, w kolorze pąsowym z niebieskim. Szeroka falbana dołem w zęby wycięta przytrzymana na sukni rulonem z takiéj saméj popeliny.

Krótka wierzchnia spodnica obszyta takąż samą falbaną wychodzącą z przodu od stanu otoczonego także falbaną. Wierzchnia spodnica jest z boku i w tyle podpięta, jak to na rycinie dokładnie widzimy. **Czarny koronkowy kapelusz.**

Druga osoba nosi **strój wizytowy**. Suknia żółta z niebieskim, mieniąca jedwabna, brązowym atłasem ubrana. Paletocik czarny aksamitny wycinany w dość duże otwory, przez które się suknia w tyle przeciąga w buffy. Garnirunek paletota z rulonów atłasowych splatanych i jedwabnéj gipiury. **Biały iluzionowy kapelusz** ubrany aksamitem.

Opis krojów.

Fig. 1. **Krój i wzór do haftu** na batyście na **kołnierzyk** z końcami.

Fig. 2. **Mantylka** z końcami, ściegiem tuńskim, z włóczki grubéj, szydełkiem robiona. — Fig. 2. przedstawia wzór ilości oczek do téj roboty: **a.** oznacza połowę plecek, **b.** wszytkę na ramieniu, naokoło garnirowana frandzlą z włóczki.

Fig. 3—4. **Mantylka** z końcami, robiona ściegiem tuńskim, obszyta frandzlą z włóczki, w tyle końce spięte fontaziem ze wstążki; **b.** oznacza plecy, **c.** wszytkę na ramieniu; **a.** przy mantylce, i **a.** przy drugiéj części zeszywają się razem; **d.** oznacza miejsce, gdzie ma przyjść fontaż; wzór na arkuszu oznacza ilość oczek do téj roboty.

Fig. 5—6. **Oparcie do krzeseł** ściegiem ruskim na suknie lub rypsie wyszyte.

Fig. 7. **Połowa ścianki** do półki na gazety, wycięta piłką z drzewa, wszystkie miejsca oznaczone krzyżykiem, wycinają się.

Fig. 8. **Podpora** pod półeczki; (jak to literami **e.** i **f.** oznaczone) za pomocą mosiężnych skówek do ścianki przymocowana.

Fig. 9. **Półeczka**, także podług liter skówkami do ścianki przymocowana.

Fig. 10. **Szlak do haftu** ściegiem ruskim.

Fig. 11—12. **Czworograny** haftu do **kołder**.

Fig. 13. **Szlak** do haftu na **spodnice**.

Fig. 14. **Wiązanka trawy**, haft.

Fig. 15. **Szlak do spodnicy**, haft.

Fig. 16—65. Duże i małe **litery** do haftu.

Fig. 66. Wiązane **A. B.** do haftu atłaskiem.

Fig. 67. **Ozdoba** około **dziurek** przy koszulach męzkich, haft.

Fig. 68. Wiązane **J. E.**, haft atłaskiem.

Fig. 69. Wstawka haftowana na batyście.

Fig. 70. **Szlak w zęby** i w małe **wiązanki**, ściegiem łańcuszkowym lub stębnem robiony.

W administracyi „Kaliny“ można prenumerować i odbierać

„REFORMĘ“

dwutygodnik, wychodzący w Sanoku. — **Cena kwrtalna 1 Złr. pojedynczy zeszyt kosztuje 25 centów.**

Zeszyt IV. z 17 października zawiera: „Drogi wytknięte III.“ — „Korespondencyja“. — „Przegląd polityczny“. — „Dziwadła historyczne“, J. Gordona. — „Dziad“. — „Małpy i gołąb“.

Lekcyje języków: francuskiego i włoskiego podług najnowszéj metody. — Bliższe szczegóły u samegoż nauczyciela, ulica Floryjańska L. 362 — od tyłu; dom P. Śliwińskiego, codziennie od godziny 8 do 11 rano.

Lekcyj francuskiego i muzyki udziela pani **B.** — Bliższa wiadomość w biurze Redakcyi ul. Jagiellońska l. 401.

W biurze redakcyi można nabyć:

Izba rękodzielnicza w Krakowie (Projekt) . . . . egz. **10** c.
Artur Grotger — ustęp z dziejów sztuki polskiéj, przez *Alfreda Szczepańskiego* . . . . egz. **40** c.
(w księgarniach i ajencjach **50** c.)

P. **T. Sławińskiego** — prosimy o adres.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

W biurze Redakcyi można nabyć: Oprawne ćwierćrocze „**Kaliny**“ z r. 1866 — 1 złr. „**Kalina**“ z r. 1868. — oprawne ćwierćrocze 1sze, 2gie i 3cie po 1 złr. 40 c. — **Mody** z ubiegłego półroku 1 złr. w. a.

Nuty do śpiewu: „Si c'est aimer“, Offenbacha; — „Serenada“, Gounoda; — „Góral i Pieśń Chochlika“, Hofmana; — „Aniołek“, Moniuszki: — „Sonet“, Dunieckiego; — „Dwie Pieśni“, Niedzielskiego; — „Do widzenia“. Kryst. Grotker; — „Tęsknota“, Hofmana; — „Mazurek“, Hofmana; — „Niepogoda“, Niedzielskiego; — „Ostatnie wspomnienie Słowackiego“, muzyka B. Borkowskiego“; — egz. 15 c.

Nuty na fortepian: „Wieczorem“, Szumana; — „Muszka“, Bacha; — „Les adieux“, Hofmana; — „Pieśń bez słów“ I. i II., Morelowskiego; — „Idylla“, Płacheckiego; — „Modlitwa z Flisa“, Moniuszki; — egz. 15 c. — „Mazurka“, Guniewicza (2 ark.) 40 c.; — „Koniec pieśni“, Schumanna, egz. 15 c.

„Wybór listów pani Sevigné“, 65 c. — „Lew zakochany“, komedja Ponsarda, 95 c. — „Cechy i stowarzyszenia“ przez A. S. 15 c.

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.
Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.
W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Jagiellońska 204, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“ i księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.
W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.